

Fragment opowiadania „Sinusoida” z książki „Spotkania” Justyny Reczeniedi

(...)

Obudziła się wcześniej. Jednak nie dlatego, że nie mogła dalej śnić, lecz przede wszystkim po to, by móc rozmyślać.

Wczoraj spełniły się właściwie co najmniej dwie rzeczy, o których mówił konsul.

To był jeszcze czwartek, 16 sierpnia po południu, gdy kompletnie zrozpaczona, chwiejnym krokiem stąpała po ulicach (wszak miłego jej sercu miasta), głośno szlochając w chusteczkę, którą przykładła do zniecierpliwionej twarzy. Zdążyła jeszcze postąpić w tym bólu zaledwie parę kroków, gdy wtem natknęła się na wielką postać konsula. Ten, nie namyślając się wiele, szybkim ruchem przygarnął ją do ciepłego ciała i po jakimś czasie na jego lewej piersi dobiegł końca jej płacz.

– Chodź – powiedział. – Pójdziemy napić się czegoś ciepłego. Może chcesz coś zjeść? Usiądźmy. Tu nie ma tylu ludzi.

Po czym wskazał miłą, cichą, choć umiejscowioną w samym środku plac „niezobowiązującą” kafejkę, gdzie mogła się wzruszać, płakać do woli, przeżywać metafizyczne uniesienia i słyszeć jak do niej przez te dwie godziny ów człowiek przemawiał. Mówił bardzo wiele, przede wszystkim wydobył na powierzchnię rzeczy, które okazały się w pewnej mierze proroczym – ono zaś nie musiało długo czekać na spełnienie.

Może wszystko dzieje się z tej prostej przyczyny, że jej twarz wygląda już o niebo lepiej. Na spełnienie miała niewiele czasu, zaledwie jeden smętny dzień, gdy jej wargi okrywał szpetny obrzęk. Teraz niby da się już coś z tym zrobić; wtedy jednak miała trzy równie jałowe wyjścia: albo całkowicie zakryć twarz, albo nie ruszać się z domu, albo – wreszcie – zignorować obecny stan rzeczy i nosić to swoje brzemię, widząc jak każdy niemal człowiek na ulicy przygląda się jej ze współczuciem lub odrazą.

Tak brzmią prorocze słowa konsula, który (nie wiedząc, dlaczego) wypowiedział je w najważniejszej dla niej chwili, idealnie wpasowując się w czas, miejsce i stan jej ducha:

– Drugi człowiek jest w tym zawodzie bardzo ważny. Bez niego po prostu sobie nie poradzisz. Bo właśnie on ci pomoże wtedy, kiedy będziesz tego potrzebowała. Ta cała opowieść o niszczącej konkurencji to kompletna bzdura. Czasem musi być przy tobie ten drugi. Inaczej – jesteś skończona.

Ma teraz przed sobą czarno na białym kwintesencję, prawdę, „kontrę” wobec swojego mitu o szczęśliwej samotności.

Druga rzecz też została już przez nią zauważona; chodzi o potrzebę pewnego życiowego doświadczenia, kiedy ktoś – bez względu na jej defekty w wyglądzie – zapragnie mimo wszystko, szczerze i namiętnie, patrzeć na nią, cieszyć się nią i jej dziękować, że jest w owej chwili dostępna dla jego oczu, dla jego myśli i może także przez moment dla jego serca, spragnionego tej właśnie – nieuchwytniej dla oka – piękności.

A wszystko to otrzymała wczoraj z nawiązką od Hon-juna, który przy tym powtórzył jeszcze z dziesięć razy:

– Danke, danke, danke.

Tak bardzo by chciała o tym wyśpiewać frazę na flecie. Nie zagrać, ale wyrzucić z siebie, wyśpiewując to wszystko niczym syrena morska Lorelei, której cudowny głos zabija zdesperowanych, omamionych żeglarzy.

Boi się, że ktoś teraz oszaleje, zwariuje na punkcie tego, co emanuje z jej poszkodowanej bądź co bądź twarzy. Boi się, że ktoś zostanie w ten sposób przez nią... uwiedziony.

Wszak to powtórka bajki o pocałunku księżniczki złożonym na ciele obmierzłej ropuchy, która okazała się wymarzoną księżniczką. Ona jest tu tą ropuchą. Potrzebowała dokładnie tego, co zostało jej dane. I właśnie to się stało. Nie musi już na nic czekać. Dopełniło się.

– Chciałbym pocałować twoje usta, ale boję się, że to cię zabolę – powiedział Hon-jun, klęcząc przed nią w zaciemnionym już pokoju.

Alpy błyszczały jeszcze w słońcu, stanowiąc w tej chwili symbol nieprzemijalności, boskiego piękna, stałości rzeczy na tym świecie.

Choć nie pozwoliła na to szaleństwo, jedno było dla niej ważne: on tego naprawdę chciał!!!

Konsul zauważył, że ona się miota, że działa na wskroś mechanicznie, nie mogąc zatrzymać się w miejscu. Teraz jednak, gdy dostała od losu w twarz (dosłownie i w przenośni), przyszła na nią nagle chwila świętej zadumy. Początkiem był moment, w którym leżała na ziemi, tuż po wypadku, patrząc w popołudniowe niebo, letni błękit i chmury dodające mu wspaniałości. Niczego wtedy nie chciała i niczego nie musiała. Co to było? Rozpacz? Złudzenie? Szok? Dotknięcie śmierci?...

Być może umierającemu towarzyszy poczucie błogości, szczęścia. Może sama śmierć – ten decydujący moment – jest właśnie czymś przyjemnym?

Nie wiemy.

Chyba nikt jej nigdy tak nie słuchał jak Hon-jun wczoraj, gdy usiłowała swoją tragicznie łamaną niemoczną wyrazić sens rozproszonych myśli.

Ten wypadek... cóż, bolało. Lecz czym jest ból wobec takiego spokoju?

I w jednej chwili z ładnej dziewczyny zamieniła się w szkaradzieństwo.

(Na zajęciach)

Nie wiedziała, że obecność jednego człowieka na sali może podziałać na nią tak uspokajająco. Dotarła do Mozarteum, odstawiona jak należy (ma jeszcze przecież inne części ciała). I znów próżność! Nie, z tego się na razie nie wyleczy. To takie swoiste.

... Dom Hon-juna mieści się z dala od centrum, w malowniczym miejscu z ogrodem i widokiem na alpejskie szczyty. Nigdy nie zapomni atmosfery tego domu, zapachu parzonej kawy, jedwabnych koszul Hon--juna wiszących w szafie, których woń wciągała dyskretnie, gdy nie było ich właściciela w pobliżu, a także zapachu smażonego sera, który topił się na jej oczach w wysokiej temperaturze „po szwajcarsku”. Jakże te sery w kuchni Hon-juna były romantyczne!

O, żesz... nie ma słów! A więc nowa rzecz następuje. Doprawdy, chyba jednak nikt w tym gronie nie jest tak stuknięty jak pan Bogusław M. Przed dwoma minutami otrzymała kopertę, a w niej:

Tajemnice i powódź

(...)